Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2013

www.zielonasowa.pl

Rozdział 1

RAKEL

Dom zawsze pachnie dymem z kuchennych palenisk i pustynnymi różami, które uwalniają swą odurzającą woń dopiero po zachodzie słońca.

Dom zawsze smakuje pierwszym łykiem wody po długich kilometrach marszu.

Wychylam się z okna sypialni i wciągam w płuca nocne powietrze. Kiedy się boisz, że możesz coś stracić, korzystasz z każdej okazji, by się tym nacieszyć.

To miejsce ojciec stworzył dla nas po śmierci mojej mamy. W oazie, która ma kształt złożonych dłoni trzymających wodę z dala od chciwego piasku, położonej przy drodze prowadzącej donikąd. W stawie pływają ryby i żółwie. Figi porastają jego brzegi, dostarczając nam tyle owoców, że ledwie możemy je przejeść, i wystarczająco dużo, by je ususzyć i zachować do następnego sezonu. Nie ma tu niczego w nadmiarze. Żadnych luksusów. Jednak kiedy byłam mała, ojciec zostawił miasto i armię prowincji aphoraiskiej, by zapewnić mi beztroskie dzieciństwo. Proste życie na świeżym powietrzu, które tak uwielbiam.

Aż nastała Zgnilizna.

Teraz dom ma zapach umierającego ojca.

Z westchnieniem zamykam okiennice i przekradam się do pokoju obok.

Oficerski miecz nadal wisi na ścianie. Symbol szacunku, jakim ojciec kiedyś się cieszył. Ale czy jesteś kochany, czy pogardzany, kiedy Zgnilizna zagnieździ się pod twoją skórą, twoje dni są policzone. Istnieją sposoby ich wydłużenia, ale to wymaga zigów. Złotych zigów. Znacznie więcej, niż jestem w stanie zarobić, przyrządzając perfumy dla wieśniaków lub lecząc rany po ukąszeniach skorpiona. Więcej, niż dostałabym za mój najlepszy olejek kwiatowy na czarnym rynku w mieście Aphorai.

Mam tylko jeden talent, a więc mam również tylko jedno wyjście.

Przynajmniej tak sobie tłumaczę, gdy uchylam wieko skrzyni stojącej w nogach łóżka ojca. Biorę łup – jego pieczęć – i wsuwam go za pazuchę.

– Rakel?

Serce mi zamiera. Spokojnie. On siedzi przed domem.

Opuszczam wieko skrzyni, uważając przy tym, żeby zamek się zatrzasnął i by nic nie wskazywało, że kiedykolwiek jej dotykałam, a potem wymykam się na zewnątrz.

Wokoło panuje cisza, wszyscy w wiosce śpią. Wszyscy poza moim ojcem. Siedzi na wysokim stołku przed naszym domem z glinianych cegieł, który zbudował, bazując na wojskowych doświadczeniach, tak by wytrzymał wszystko, może poza naprawdę silnym trzęsieniem ziemi. To właśnie dlatego nasz dom stoi, podczas gdy inne się kruszą.

Drewnianą kulę oparł o ścianę, by była w zasięgu ręki, jego twarz oświetla dogasający żar paleniska. Wokół niego rozchodzi się zapach bergamotki. Nocne owady, które ta woń odstrasza, już dawno się rozpierzchły, ale on lubi ten czysty zapach. W normalnych okolicznościach byłoby to marnotrawstwo. Ale wiedziałam, że przyszłoby mi oszaleć, gdybym musiała

mieszkać pod jednym dachem ze smrodem gnijącego ciała tak bliskiego mi człowieka.

– Nie możesz spać? – Staram się mówić pogodnie, mimo poczucia winy, i oddychać tak spokojnie, jak to możliwe.

Ojciec przytula mnie szybko, uważając, bym dotykała tylko zdrowych części jego ciała.

– Skończyła mi się kora wierzbowa – mówi.

– Myślałam, że wystarczy jej na cały miesiąc.

Wzrusza ramionami.

Jest niedobrze. Naprawdę źle. Ale to tylko utwierdza mnie w podjętej decyzji – ułatwia mi usprawiedliwienie i zatajenie mojego planu.

– Kupię ją w Aphorai. – Przynajmniej to jest prawdą.

Kręci głową: – Nie martw się. Jest dobrze.

– Aha, w szóstym kręgu piekła też jest wspaniale.

– Uważaj, co mówisz.

Pokazuję mu język i robię zeza.

Ojciec chichocze: – Nie powstrzymam cię przed tym wyjazdem, nawet jeślibym próbował, prawda?

– Mało prawdopodobne. W każdym razie powiedziałam już Bardenowi, że go podwiozę. Kończy mu się urlop. – Zarzucam torbę na ramię i całuję ojca w policzek pokryty zarostem. – Spróbuj odpocząć, dobrze?

Kiwa głową.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Słyszę za sobą kroki na piasku. W samą porę. Pas do miecza Bardena i jego kilt są tak nowe, że nadal pachną tymiankiem użytym do stłumienia smrodu gołębich odchodów stosowanych przez garbarza do zmiękczania skór. Czuję też znajomy zapach potu maskowany olejkiem bursztynowym, którym strażnicy aphoraiskiego pałacu muszą się nacierać, żeby nie drażnić nosów arystokratów. I założę się, że arystokratycznym

oczom wcale nie przeszkadza widok olejku lśniącego na mięśniach. Przez kilka krótkich miesięcy od wstąpienia na służbę codzienne treningi wyrzeźbiły pierś Bardena, choć i tak była już na tyle muskularna, że oglądała się za nim połowa dziewcząt z naszej wioski, jakby był potomkiem Ashradinorana.

A on jest tego zupełnie nieświadomy.

– Barden! – Ojciec wita mojego najdawniejszego przyjaciela. – Z powrotem na służbę u naszego znamienitego gubernatora prowincji? – W jego głosie słychać nutę goryczy, gdy z trudem się podnosi. Służył u eraza Aphorai, jeszcze zanim Barden się urodził.

Barden przesuwa się, by podać ojcu ramię.

– Nawet gdybym chciał gdzieś pójść, nogi mnie nie poniosą. – Ojciec patrzy na mnie. – Ale nie ma nic lepszego od posiedzenia w domu.

Unikam jego wzroku i poprawiam torbę, choć wcale tego nie wymagała.

Stojąc, ojciec opiera się mocno na kuli, bo z lewej nogi niewiele mu zostało – teraz nie sięga niżej niż kolano – i zwisa bezwładnie. Mrużę oczy w świetle księżyca. Czyżby jego bandaże znajdowały się wyżej niż wczoraj?

Kuśtyka w kierunku drzwi.

– Zobaczymy się jutro wieczorem, tak?

Kiwam głową, nie ufając swojemu głosowi, który mógłby zdradzić, że kłamię.

Kiedy ojciec znika w środku, obracam się do Bardena:

– Gotów?

– Jak zawsze.

Barden idzie za mną na tyły domu. Klacz i wałach czekają za ogrodzeniem, łby mają opuszczone, każde opiera jedną tylną nogę na czubku kopyta.

Lil jest największym koniem wyhodowanym przez ojca, większym nawet od jej starszego brata stojącego obok. Ojciec

podarował mi ją na dwunaste urodziny i od tamtej pory jesteśmy razem. Jej imię wywodzi się od *lilarii* z opowieści wioskowej gawędziarki, bo jest czarniejsza od demonów cieni ze starodawnych legend, dwa razy szybsza i ma odpowiedni temperament. Ojciec powiedział, że to pechowe imię. Ale wtedy nie przejmowałam się specjalnie fartem ani jego kuzynką – fortuną, oboje już dawno odwrócili się do mnie plecami. Lil była demonem i idealnie do siebie pasowałyśmy.

Teraz demon się obudził. Lil strzyże uszami, gdy ruszamy w jej kierunku.

Barden idzie powoli. Omiata spojrzeniem klacz.

– Czy ona kiedykolwiek się do mnie przyzwyczai?

– Ile razy mam ci powtarzać, że to nic osobistego? Ona nikogo nie lubi. – W tej samej chwili Lil wysuwa łeb ponad płotem i dotyka chrapami mojego ramienia.

– Raaaacja. – Barden daje mi worek ze swoimi rzeczami, wypakowany do granic możliwości.

– Bar, smrodku, czegoś ty tam napakował?

Zbywa mnie wzruszeniem ramion.

– Nie zmienisz swojej decyzji?

Kręcę tylko głową, obawiając się tonu własnego głosu. Przypinam worek i torbę do siodła Lil. Męska dłoń nakrywa moją rękę.

– Nie jest za późno, żeby zacząć pracować jako wytwórca kadzideł. Księżyce się nie zderzą z tego powodu. Może nawet przywykłabyś do tego.

I znowu to samo. Barden uważa, że nic nie dzieje się bez powodu. Że każdy ma wyznaczone mu miejsce. Że zapisano to w gwiezdnym kole, na długo zanim ktoś na tyle wejdzie w lata, żeby w ogóle wiedzieć o istnieniu tego cuchnącego gwiaździstego koła. To jedna z niewielu rzeczy, co do których się nie zgadzamy. Wysuwam dłoń z jego ręki i zagłębiam palce

w grzywie Lil, przytulam policzek do jej szyi, wdycham bezpieczną ciepłą końskość, jakbym otulała się kołdrą.

– Marne jak szczurzy proszek zarobki ledwie wystarczają na utrzymanie jednej osoby. – Patrzę w stronę domu. – Jednej z d r o w e j osoby. Albo perfumiarz, albo klęska. I to musi być teraz. Ojciec nie może czekać do kolejnego obrotu.

Barden krzywi się, słysząc te słowa prawdy, a potem kładzie mi ręce na ramionach.

– Są inne sposoby, Rakel. Awansuję. Już teraz wysyłam siostrze połowę żołdu. Niedługo będę mógł wspomóc ciebie i twojego ojca. – Otacza mnie ramionami.

Jego solidna postura, tak dobrze mi znana, napawa mnie otuchą, choć wiem, że on nie może rozwiązać moich problemów. W momencie kiedy jego ambicja zacznie przynosić owoce, będzie już za późno.

– A wtedy – mamrocze, dotykając ustami moich włosów – nie będziesz już musiała tak wiele ryzykować.

Napinam się. Kocham naszą wioskę, ale życie w inny sposób niż pozostali jest tutaj trudne. Z drugiej strony, perfumiarze eraza są nagradzani za nowe zapachy. Szczodrze nagradzani. Gdybym była jednym z nich, nigdy już nie musiałabym się martwić o cenę najlepszych środków, żeby spowolnić Zgniliznę i kupić ojcu czas. Mogłabym nawet odkryć nowe sposoby leczenia. I mogłabym samodzielnie dokonać wyboru dotyczącego mojej przyszłości, bez konieczności proszenia Bardena o wsparcie.

Barden prostuje się.

– Skoro tego nie możesz mi obiecać, to obiecasz mi chociaż coś innego?

W tym momencie moja brawura go nie zwiedzie. Spoglądam na niego, ale jego sylwetka jest jedynie cieniem na tle księżyca i gwiazd, więc nie widzę wyrazu jego twarzy.

– Obiecaj mi, że będziesz ostrożna – mówi lekko zachrypniętym głosem. Opuszcza głowę i prawie niezauważalnie jeszcze bardziej przysuwa się do mnie.

Robię unik.

– Późno już, Bar. Powinniśmy jechać. – Biorę lejce Lil i wkładam stopę w strzemię.

Barden z westchnieniem sadowi się za mną.

– Oprzyj się o mnie – szepcze mi do ucha.

Mimo napięcia, które między nami narasta, on nadal jest moim najlepszym przyjacielem. Jedynym przyjacielem.

I zawsze dochowuje moich tajemnic. Pozwalam sobie na odprężenie, gdy opieram się o jego pierś. Do miasta jedzie się całą noc i cały dzień. Nie zaszkodzi się zdrzemnąć.

– Lil – mamroczę, zamykając oczy. – Nie zrzucaj Bardena, dobrze?

W chwilach takich jak ta wolałabym nie mieć nosa.

Aphorai nie jest jeszcze w zasięgu wzroku, kiedy czuję, jak wiatr przetaczający się nad wydmami przynosi ze sobą woń miejskich ulic. W jednej chwili pustynia jest spokojna – jest tu Barden, mój koń i cierpki zapach bożodajni, której gałązki Lil zmiażdżyła kopytami, a w następnej uderza mnie obezwładniająca fala woni suszonych owoców, śmierdzących pach i wszystkiego, co dojrzało, zjełczało lub zgniło.

Barden ściska mnie za ramię, dodając mi otuchy.

Tłumię mdłości i lekko uderzam boki Lil piętami. Mam spotkanie i muszę na nie zdążyć.

Pierwszą budowlą, która wyłania się zza wydm, jest świątynia. Strome ściany piramidy górują nad miastem Aphorai niczym przykucnięta bestia. To jedna z niewielu konstrukcji, które przetrwały całe wieki trzęsień ziemi nękających ziemie prowincji. Wierni mówią, że świątynia została zbudowana

przez samych bogów. Ta teoria ma w sobie ziarno prawdy, jeśli twoi bogowie to praca najemna i brzęczące zigi.

Dopiero kiedy Lil zaczyna potrząsać łbem, zdaję sobie sprawę, że jestem sztywna i napięta od ramion po uda, a rękę mam zaciśniętą na srebrnym medalionie ukrytym pod lnianą szatą. Pochylam się do przodu i głaszczę klacz po szyi: – Przepraszam, dziewczynko.

Z tej odległości kapłanki wspinające się po rampie świątyni wyglądają w swoich purpurowych spódniczkach z piór jak ogniste ptaki. Kiedy docierają na szczyt, kolumna niebieskiego dymu unosi się znad wielkiego ołtarza ku niebu. Za nią podąża następna, biała i przejrzysta niczym chmura na letnim niebie. Potem pomarańczowa spirala i jedna o barwie przygaszonej zieleni.

Barden szturcha mnie, gdy wznosi się ostatni słup dymu. Ma kolor cesarskiej purpury.

– A to z jakiego powodu? – pytam go ponad ramieniem.

– Nie mam pojęcia. Tylko oficerowie mają dostęp do spraw cesarstwa – prycha.

– Och? Wydawało mi się, że garnizonowy sierżant bardzo cię lubi.

– Nie aż tak bardzo.

– Czyżbyś nie był w jego typie?

Trąca mnie w żebra.

– Oczekuje, że ożenię się z ładną dziewczyną.

– Ale przecież nie jesteś najstarszy – ofukuję go. Barden to szczęściarz, jest młodszym bratem i nie ciąży na nim obowiązek kontynuowania rodu. – Możesz być, z kimkolwiek zechcesz.

– Mogę?

Wzdycham. Sama jestem sobie winna.

Kombinuję, jak zmienić temat naszej rozmowy, kiedy zapach obrzędowego dymu dochodzi do moich nozdrzy, rozbudzając we mnie długo tłumioną złość.

Świątynia rządzi życiem wiernych za pomocą zasad i rytuałów. Zaczyna się to z chwilą przyjścia na świat. Bardzo drogie składniki płoną w świecach i kadzielnicach, ogłaszając ten fakt szprychom gwiaździstego koła na niebie, między którymi się urodziłeś – tak by bogowie słyszeli twoje modlitwy, dopóki nie umrzesz.

Ale przy moich narodzinach nie palono świętych kadzideł. Nie ofiarowywano cennych trociczek w czasie modłów.

Mięta, wyprawiona skóra, rozmaryn, pot.

To były moje pierwsze zapachy.

Miętowe mydło, wysłużona skórzana zbroja i rozmarynowy olejek do brody, robiony z rośliny, która nadal rośnie w donicach przed naszymi drzwiami. Niedająca się z niczym pomylić otoczka ojca. Wszystko to wymieszane z mocno wyczuwalnymi dowodami wysiłku, jaki kosztowały go ćwiczenia w garnizonie. Te cztery zapachy nie odstępowały mnie, gdy byłam noszona przez niego po targowiskach, kiedy odwiedzaliśmy miasto Aphorai. Choć byłam jeszcze bardzo mała, potrafiłam bez trudu je wyodrębnić: była to moja osobista twierdza, chroniąca mnie przed smrodem dziedzińców garbarni, wielbłądów, gulaszu z pustynnego ptactwa i tanich perfum z przybytków w bocznych alejkach.

Ale to było, zanim niewielki pęcherzyk pojawił się na podbiciu jego stopy. Zanim strup pękł i odsłonił trochę większą ranę. Zanim ból stał się na tyle silny, że nie pozwalał mu chodzić, nie mówiąc o noszeniu mnie.

Stadko jaskółek krąży i nurkuje w powietrzu nad nami, szykując się do powrotu do gniazd w otworach łuczniczych w murach Aphorai, a ich świergot wyrywa mnie z zamyślenia. Jedyna nienaruszona podczas Wojen Cieni miejska fortyfikacja w całym cesarstwie, jak mawiał ojciec. Przypuszczam, że częste trzęsienia ziemi w pewien sposób pomogły naszej prowincji przygotować się na inny rodzaj agresji.

Dziś mury bronią nas przed słońcem – gorącym jak piec kowalski, gdy powoli znika za horyzontem, zasnuwając pustynię złocistą poświatą. Kiedy docieramy do piętnastej bramy, Barden zsuwa się z grzbietu klaczy. Grupka obszarpanych dzieciaków natychmiast wyłania się z cienia i otacza nas. Barden śmieje się dobrotliwie, rozwiązuje worek i wyciąga figi. To właśnie nimi tak go wyładował.

Uścisnął mnie w kolano – nawet nie musiał wyciągać ręki do góry.

– Zobaczymy się na sprawdzianie?

Kiwam głową.

– I… Rakel? – woła, przekrzykując dziecięcy harmider.

– Tak?

– Niech gwiazdy mają cię w opiece.

Ponownie kiwam głową – Barden wie, że nigdy w życiu nie zmówiłam modlitwy – i odjeżdżam.

Zostawiam Lil przy fontannie na niewielkim placu. Pewnie nie jest to najwłaściwsze miejsce i byłoby lepiej, gdybym zabrała ją do jednego z obozów handlarzy przed murami miasta, ale to wymaga zigów. Nie wchodzi w grę. Jeśli ta okolica jest na tyle bogata, żeby utrzymywać fontannę w publicznym miejscu, nikt tu nie będzie zawracał sobie głowy kradzieżą klaczy. Zwłaszcza kiedy większość ludzi uważa, że byłaby więcej warta jako upieczone kawałki mięsa niż żywa. A gdyby nawet ktoś położył na niej rękę? Prawdopodobnie by ją stracił.

Lil prycha z oburzenia, gdy przywiązuję ją i mam zamiar zostawić.

– Co? – pytam, gładząc ją po boku. – Przecież nienawidzisz targów.

Nie chce nawet na mnie spojrzeć.

Przeszukuję kieszeń, wyciągam żółtą chustę, typową dla służących, i zakrywam nią zakurzone i potargane włosy. Nikt

z mieszkańców miasta nie ubiera się w pustynne rzeczy, dlatego podwijam wysoko rękawy na miejską modłę. Medalion służy mi za lusterko. Sprawdzam w nim, czy nie jestem ubrudzona na twarzy. Wcieram potem zawartość medalionu w skronie, za uszami i w nadgarstki. Wosk pszczeli zmieszany z hiacyntem i lilią, z nutą goździka. Zapach jest lepko kwiatowy, ale pomoże mi wtopić się w tłum, podobnie jak krótkie rękawy i przygaszone kolory.

Ostatni raz drapię Lil za uchem, po czym zarzucam torbę na ramię – ostrożnie, żeby nie wstrząsać jej zawartością. I z pustą sakiewką, która w niej tkwi, wyruszam przed siebie.

Droga prowadzi mnie najpierw wzdłuż szerokiej, obsadzonej palmami alei. Służący w szafranowych szatach, załatwiający późne sprawunki, nie zwracają na mnie uwagi. Mały kotek obserwuje mnie ze szczytu muru, zapach persymony unosi się z sadu, który znajduje się za ogrodzeniem. Idę zdecydowanym krokiem, staram się zachować czujność, ale tak, by nie wyglądać na osobę podejrzliwą, zbyt świadoma jestem, ile księżyców pracy kosztowała mnie zawartość kilku flakoników, które mam w torbie.

Niebo nade mną sinieje wraz ze zmierzchem, ostatnie smugi dymu rozwiewają się na wietrze.

Błogosławieństwo na drogę.

Bliżej targowiska ulice stają się węższe. Unoszą się tu znajome zapachy przypraw korzennych, zaburzane fetorem ścieków sączących się rynsztokiem. Oddychając płytko, podążam zygzakiem pomiędzy straganami, wymijam handlarzy drobiem i przeciskam się między stołami, na których piętrzą się stosy sumaka i gwiazdki anyżku.

I znowu jestem pod otwartym niebem. Stragany otaczają plac, naczynia są tu bardziej dekoracyjne niż użyteczne, powietrze jest aż gęste od aromatu smoczej krwi unoszącego się z trociczek. Wciągam głęboko oficjalny zapach Aphorai –

produkowany wyłącznie w perfumerii eraza. Ta część miasta pachnie wybitnie arystokratycznie.

I nagle, jakby obok tego wszystkiego, czuję coś przerażająco znajomego.

Jakiś mężczyzna opiera się o pobliską ścianę. Stoi przy nim niewielki drewniany wózek. Mrużę oczy w gasnącym świetle. Czyżby klęczał? Nie. Jego nogi kończą się w miejscu, gdzie powinny być kolana. Brudne, mokre od ropy bandaże ma owinięte wokół kikutów. Nie zostało mu dużo życia.

Przechodnie unikają jego wzroku. Służący wpatrują się w kocie łby. Kupcy zakrywają nosy perfumowanymi jedwabnymi chustkami i obchodzą go łukiem. Kiedy znajdują się w odległości dziesięciu kroków, rzucają je na ziemię. Handlarze ze straganów, z długimi szczypcami w rękach, dopadają tych skrawków tkaniny.

Przesądni głupcy. Nie można zarazić się Zgnilizną przez wdychanie jej odoru, jestem tego żywym dowodem.

Mężczyzna z trudem próbuje podciągnąć się na wózek, ale przewraca się, kiedy handlarz szturcha go szczypcami i grozi wezwaniem straży miejskiej.

Zaciskam i rozprostowuję pięści. Podchodzę, odsuwam handlarza i kucam obok kaleki.

– Weź mnie za ramię – mówię.

Mężczyzna wykrzywia się w grymasie z wysiłku, kiedy staram się posadzić go na wózku.

Szukam w torbie niemal już pustego słoiczka z wierzbą. Jest ostatni z mojej osobistej rezerwy, ale mam nadzieję szybko uzupełnić zapasy.

– Proszę. To złagodzi ból. Najlepiej zażyć w kormaku. Ale nie za dużo – ostrzegam, przyglądając się jego bandażom – bo inaczej zaburzy krzepnięcie krwi i zaczniesz krwawić.

– Dziękuję – odpowiada niskim głosem.

– Masz dokąd iść? Może pomogę ci tam dotrzeć?

– Poradzę sobie. – Oboje wiemy, że kłamie.

– Jesteś pewny?

Patrzy na drugą stronę placu. Powstałe tam zamieszanie wskazuje, że handlarz znalazł strażników miejskich.

– Powinnaś już iść.

Tak, to prawda. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, jest kłótnia z kapitanem straży miejskiej.

– Niech gwiazdy mają cię w opiece, siostro – mówi z mocą.

– I ciebie też.

Naprzeciw spostrzegam żarzące się miedziane kadzielnice, mój cel. Rząd młodych służących stoi w progu. Mają ładne rysy twarzy i sprężyste ciała pod sukniami ze zwiewnego jedwabiu. Każda trzyma wachlarz z palmowego liścia, którym kieruje słodko pachnący, czerwonawy dym na ulicę, zachęcając nabywców, by weszli i dali się skusić. Szereg ochroniarzy znajdujących się za nimi informuje, że trzeba być odpowiednim rodzajem klienta.

N i e j e s t e m odpowiednim rodzajem klientki.

Na szczęście nie muszę korzystać z frontowego wejścia.

Na tyłach budynku są kamienne schody prowadzące do piwnicy.

Ochroniarz przy drzwiach, ubrany w mniej krzykliwe kolory niż jego koledzy stojący od frontu, kiwa mi uprzejmie głową. Idę korytarzem i niemal potykam się o nogi śpiącej tam pary – woń ich pustych sakiewek i jeszcze pustszych głów tłumią pozostałości zapachu ich drogich perfum. Wdychali dym snu.

W głównej komnacie grupa oglądających otacza wysoki do biodra marmurowy stół ustawiony na środku pomieszczenia. Czterech mężczyzn i kobieta podchodzą do blatu, a służąca przynosi im srebrną tacę ze szklanymi czarkami umieszczonymi w pięciu punktach gwiezdnego koła. Można by pomyśleć, że czarki napełniono płynną tęczą; ciecz w każdym naczynku pobłyskuje niczym klejnoty w migoczącym świetle świec.

Ach, to gra. „Śmierć w raju". Czarki zawierają mieszankę makowego mleka i mocnego alkoholu – gwarantują pijącemu uczucie miłości do całego świata i każdej napotkanej osoby przez całą noc. Ryzyko? Jedna czarka może być lub nie być posmarowana na brzegu nocnym jaśminem: praktycznie niewyczuwalnym w słodkim napoju, ale zabijającym w ułamku sekundy. Próba biegłości. A przy jej braku próba nerwów.

– Do dna! – Pierwszy gracz, młodzieniec o kręconych włosach, w szacie niebezpiecznie bliskiej kolorem cesarskiej purpurze, unosi czarkę i połyka jej zawartość jednym haustem. Po chwili odstawia czarkę na tacę, promiennie uśmiechnięty. – Innego wieczoru powącham perfumy bogów.

Obserwatorzy zachłystują się powietrzem, a potem klepią go po plecach. Gdy kieruję się do baru, nawet nie próbuję maskować drwiny. Jeśli rzeczywiście spojrzeliby w moją stronę, nawet by mnie nie zauważyli. Nikt tu nie szuka pomocy.

Barmanka i ja nigdy nie udawałyśmy przyjaciółek, dlatego nie sili się na uprzejmości, kiedy omiata wzrokiem moją torbę.

– Zostaw to w składziku. Czeka tam pół wagi zigów. Następne zamówienie powinno się tu znaleźć, jak zaświeci półksiężyc.

– Tym razem chcę porozmawiać z Zakkurusem.

– Nie masz szans.

Poklepuję torbę.

– Wolisz, żebym zaniosła to do Rokada? – To tylko częściowy blef. Rokad lepiej płaci, ale też mówi się o nim, że denuncjuje dostawców nadzorcom.

Barmanka wzdycha i sięga za bar. Pół minuty później rozlega się charakterystyczne pobrzękiwanie i pięć czarek zostaje ustawionych przede mną.

– Wybieraj.

– Nie jestem jakimś nadętym wąchaczem, szukającym dreszczyku w szemranych zaułkach miasta.

– A Zakkurus nie jest bezinteresownym darczyńcą, który będzie marnował czas na wszystko, co kot przywlecze do domu. Chcesz audiencji? Decyduj.

Śmierdząca sprawa. Nie chciałam tego. Ale jaki mam wybór? Jeśli nie teraz, sprawdzian praktykantów skończy się i trzeba będzie czekać do następnego obrotu. Możecie nazywać to Schorzeniem, jeśli chcecie używać oficjalnej nazwy, ale prawda jest taka, że Zgnilizna nie cacka się z żadnym mężczyzną. Ani dziewczyną. Czas mojego ojca się kurczy.

A biorąc pod uwagę brak szacunku, jaki okazywałam przez całe życie bogom i gwiazdom, nie mam innego sposobu. Muszę wiedzieć, jakie perfumy znajdą przychylność w następnym obrocie gwiezdnego koła u córki eraza, lady Sireth – zapach, który wybierze, będzie tym, którym każdy, kto jest kimś albo c h c e kimś zostać, będzie się spryskiwał. Zapach, który będzie ostateczną próbą na sprawdzianie praktykantów.

Siłą woli opanowuję drżenie ręki i przesuwam każdą czarkę pod nosem, pozwalając, by bukiet zawładnął moimi zmysłami. Wracam do trzeciej. Tylko jej zawartość ma nutę goryczy, bez wątpienia dla zmyłki. To także jedyna czarka, której brakuje niepozbawionej uroku słodyczy. Tylko ta jest czysta. Założyłabym się o życie. No i mam z a m i a r zaryzykować życie.

– Aż cztery zatrute? – Unoszę brwi. – Chyba wypadłam z łask gospodarza tego domu, prawda?

Barmanka wzrusza ramionami.

Patrząc jej w oczy, podnoszę czarkę z gorzkawym płynem do ust. Odchylam głowę i piję.

Przez sekundę, dwie, czuję się dobrze.

A potem podłoga rusza mi na spotkanie.

Rozdział 2

ASH

Gwardia pałacowa jest trenowana tak, by mogła sprostać trudom walki. Przed Tarczami rodziny cesarskiej stawia się większe wyzwania – uczą się odczytywać niuanse dworskiej polityki, podtrzymując jednocześnie przez cały czas złudzenie, że o niczym nie mają pojęcia. Nie potrafię zignorować ohydnego smrodu Schorzenia, jaki wypełnia cesarską komnatę sypialną, ale dzięki łasce boskiej matki Esiku moja twarz tego nie okazuje.

Służba zrobiła, co było w jej mocy. Jedwabne zasłony są związane po bokach, by wiatr mógł wpadać przez okna. Kadzielnice kopcą, węgielki żarzą się w nich i odbijają w lśniących ścianach z czarnego granitu. Gałązki wawrzynu są rozsypane na mozaikowej posadzce, podczas gdy znad trociczek unoszą się wonne smużki dymu. Mimo to nie da się stłumić fetoru, znaczącego granicę między światem żywych i królestwem bogów.

Każdy, kto wchodzi do tej komnaty, wie dobrze, co oznacza ta woń: cesarz Aramteshu jest umierający.

Poprawka. Cesarz Kaddash umiera od dziesięciu obrotów gwiezdnego koła. Kona dłużej, niż trwa moja dojrzałość. Ale podobnie jak wszystko inne, co spartaczył w czasie sprawowania

władzy, także chwil przed rozstaniem z życiem nie potrafi przeżyć tak jak trzeba.

Kaddash leży oparty o górę poduszek. Choć jest na stronie słońca od pięćdziesięciu obrotów, wygląda na siedemdziesiąt albo więcej. Skórę ma cienką jak pergamin, oczy zapadnięte pod brwiami, które kiedyś emanowały dumą. No i wydaje z siebie wszechogarniający smród.

Pierwszy książę Nisai siedzi na niskim, bogato rzeźbionym krześle przy łożu ojca. Szczupły, robi wrażenie czujnego. I podobnie jak w każdej godzinie każdego dnia – jestem u jego boku.

Cóż, nie dosłownie u jego boku. To nie byłoby właściwe w tej sytuacji. Zachowuję konieczną odległość trzech kroków, mam idealny widok na okno oraz drzwi i dość miejsca za sobą, by w razie potrzeby szybko wyjąć dwa umocowane na moich plecach miecze. Patrzę na wszystko z kamienną twarzą.

Widok wyrazu twarzy Nisaia, rozdartego pomiędzy nadzieją i żalem, wywołuje we mnie uczucie bólu, przypominającego ćmienie blizny przed nadchodzącym deszczem. Z dobrze wypraktykowaną rutyną, która przychodzi wraz z doświadczeniem, tłumię emocje, zamykam je szczelnie w sobie.

– Ojcze – mówi błagalnie Nisai ze spuszczonym wzrokiem.

Jakże żałuję, że to zrobił. Pierwszy książę nie powinien nigdy, ale to nigdy błagać.

Nabiera powietrza i unosi głowę, żeby spojrzeć cesarzowi w oczy.

– Proszę, ojcze. Powołaj Strażniczkę Zapachów. Znalazłem odniesienia w dawnych tekstach sugerujące, że ich archiwa są starsze od naszych. Może wiedzą o czymś, co poprawiłoby twój stan.

W końcu patrzy w moją stronę, jakby szukał u mnie poparcia, choć wie dobrze, że muszę zachować milczenie.

Kaddash marszczy czoło z niezadowolenia.

– Straciłeś rozum? To szarlatanki. Czarownice. Wywiozę je do najdalszego zakątka cesarstwa. Zobaczymy, jak sobie poradzą

na Losańskich Pustkowiach. Albo w dole kloacznym Lautusu! Dopóki oddycham, nie będzie następnej Strażniczki Zapachów w Ekasyi. – Drobiny śliny gromadzą mu się w kącikach ust. – Wolałbym raczej umrzeć z Doskaiem. – Ostatnie słowo brzmi jak syk, syczące imię Zagubionego Boga, dziwnie głośne w poza tym cichej komnacie.

Pocieram dłonią ogoloną na łyso głowę i rozglądam się po pomieszczeniu. To wystarczająco przekonująca iluzja rodzinnej prywatności. Ale nawet ja nie mogę ustrzec ich przed ścianami, które mają oczy i uszy. Tak długi okres powstrzymywania się od powołania następnej Strażniczki Zapachów w stolicy cesarstwa, po tym jak ostatnia odeszła w niebiosa, budził spore kontrowersje. Jeśli prowincje zorientują się, jak długo naprawdę trwał ten stan nieprzestrzegania Porozumienia… No cóż.

Nisai wzdycha, zrezygnowany: – Staraj się zachować spokój. Zdenerwowanie nie wyjdzie ci na dobre.

Kiedy cesarz mówił, uniósł się na łokciach, ale teraz opadł z powrotem na uperfumowane poduszki.

– Spokój. Tak. Pierwsza mądra rzecz, jaką dzisiaj powiedziałeś. Trochę dymu snu by mi pomogło. Rekomendowanego przez Gildię w leczniczych dawkach. Tak, tak. Wezwij medyka.

Zjawia się młody paź, cichy niczym mysz portowa wślizgująca się do rzeki. Pociąga za linę ukrytą za draperiami. Rozlega się dzwonek wprawiający w drżenie kamienne ściany pałacu, przez co nie tylko się go słyszy, ale i czuje.

Drzwi się otwierają, a paź szepcze coś do gwardzisty stojącego na zewnątrz.

Patrzę na Nisaia. Niewielka zmarszczka pojawia mu się między brwiami, jest sceptyczny, ale zbyt dużo w nim dyplomaty, żeby to powiedzieć głośno. Gildia Medyków zyskuje coraz wyższą pozycję, lecz mimo że twierdzi, iż stosuje „empirycznie sprawdzone" metody i praktyki, słyszałem o jedynie kilku przypadkach, w których pacjent został wyleczony bez utraty czegoś –

zdrowych zmysłów, części ciała lub w ostateczności znacznej części majątku. A jeśli chodzi o Schorzenie? Gildia może przedłużyć życie, ale ocalić mogą je tylko bogowie.

Medyk przychodzi szybko.

Zawsze czeka w gotowości.

Czarny strój członków Gildii Medyków wydaje się wyzwaniem rzucanym olśniewającym, pełnym piór szatom noszonym w świątyni. Ciemna, szorstka wełna na pewno nie jest wygodnym odzieniem w taki ranek: wiatr, który usiłował wywiać z komnaty smród tak mocny, że aż gęsty, jest zdecydowanie ciepły, resztki śniegu z tego obrotu stopniały na górze Ekasyi dawno temu.

Paź odchrząknął i zaanonsował: – Zostar Alak z Gildii Medyków.

Czarny Uniform ani drgnie.

Paź patrzy na Nisaia, a potem znowu na przybysza i rumieni się, gdy dociera do niego, że medyk oczekuje czegoś więcej.

– Zostar Alak, na osobiste wezwanie cesarza Kaddasha Czwartego!

Czarny Uniform kiwa głową z satysfakcją. Przechodzi szybko przez komnatę w sposób typowy dla niskich mężczyzn – jakby chciał sprawiać wrażenie, że zajmuje więcej przestrzeni. Nie jestem mistrzem perfum, ale nawet ja wyczuwam ciągnący się za nim zapach octu.

Przestępuję z nogi na nogę, wzmocniony skórzany pancerz trzeszczy pod jedwabnym pałacowym strojem.

Medyk kieruje na mnie wzrok.

Obdarzam go najobojętniejszym, pustym spojrzeniem.

Podejrzliwość unosi mu brew, ale nie zatrzymuje się, stawia torbę na niewielkim stoliku przy łóżku, czemu towarzyszy pobrzękiwanie szkła. Kładzie kostkę koloru miodu na maleńkim talerzyku i podpala ją ogniem wziętym z jednej z kadzielnic.

Nisai siedzi na krześle i kaszle, odganiając dym od twarzy.

– Trzymaj się z dala, książę – medyk poucza go.

Wyciągam nóż z pochwy nad nadgarstkiem i przesuwam jego koniec pod paznokciami, usuwając nieistniejący brud. Ustawiam go pod takim kątem, żeby ostrze pochwyciło poranne słońce i rzuciło plamę światła na twarz medyka.

Czarny Uniform piorunuje mnie wzrokiem.

Udaję, że niczego nie zauważyłem.

Nisai posyła mi jedno ze swoich spojrzeń: „Naprawdę musiałeś?". Tak. Naprawdę musiałem. Przez ostatnie księżyce stary Czarny Uniform nabrał o sobie zbyt wysokiego mniemania. Słyszałem kilka z jego żartów o „prawdziwej medycynie". Nietrudno się domyślić, skąd u cesarza bluźniercze pomysły.

Po kolejnych kilku gwałtownych ruchach i pobrzękiwaniu szkłem Czarny Uniform wyciąga flakonik z mętnym płynem. Wkrapia kilka kropli do kielicha, a służąca podchodzi, żeby dopełnić go wrzącą wodą. Cesarz uśmiecha się i pochyla nad kielichem, chciwie wdychając opary.

Uspokojony, złagodniały Kaddash klepie Nisaia po ręku:

– Grzeczny chłopiec. Może pójdziesz teraz pobiegać? Tatuś musi odpocząć. – Ton jego głosu zmienił się i przypomina gruchanie. Być może myśli, że jest w stanie zmienić bieg gwiezdnego koła i naprawić lata zaniedbań.

– Wybacz nam, pierwszy książę. Cesarz jest gotów do terapeutycznej insuflacji trankwilizującej. – Czarny Uniform wymawia starannie każdy człon tej nazwy, jakby to gwarantowało jej skuteczność.

T e r a p e u t y c z n y. Powiedz tak o czymkolwiek, a każdy dym pozbawiony zapachu przemieni się w społecznie akceptowaną metodę leczenia.

I n s u f l a c j a. Zwij to, jak chcesz, ale jest, czym jest. Wdmuchiwaniem dymu do cesarskiego tyłka. Dosłownie.

T r a n k w i l i z u j ą c y. Och, w to nie wątpię. Podobnie jak nie wątpi w to żaden z kupców i arystokratów dostarczających

towar do spelunek z dymem snu w całym imperium i robiących na tym kwitnące interesy.

Jestem zadowolony, kiedy Nisai żegna się i kieruje w stronę drzwi. Idę za nim, nie oglądając się za siebie.

Zmierzamy w milczeniu do komnat pierwszego księcia. W sali cesarzy zaczynam się zastanawiać, co pomyśleliby imperatorzy, których portrety znajdują się na gobelinach, o obecnym władcy Aramteshu. Sawkos Wielki jest zbyt zajęty polowaniem na lwy z pierzastymi grzywami, żeby przejmować się przyszłością. Ale przysiągłbym, że na twarzy Emorana Prawodawcy widać zmarszczkę wywołaną dezaprobatą. I lekkie rozczarowanie emanuje z Awulshegi II, ukazanego na tle kolumnady cesarskiego uniwersytetu, kiedy przytyka gęsie pióro do zwoju.

Gdy mijamy tego mędrca i jego następców, władców, którzy doprowadzili do Wielkiego Rozkwitu w piątym i czwartym wieku przed Porozumieniem, Nisai przesuwa palec po wypolerowanych cedrowych prętach pod każdym portretem. Zapobiegają zawijaniu się gobelinów, ale księciu wydają się czymś więcej. Talizmanem. Probierzem.

Nisai zatrzymuje się pod ostatnim gobelinem. Kaddash siedzi na jednym z balkonów ze lśniącego czarnego kamienia, wychodzącym na równinę z rzeką widoczną w oddali, ma przed sobą lutnię, palce ułożone na strunach. Jest otoczony przez młodych i pięknych dworzan, trzymających pełne kielichy lub leżących na poduszkach z fajkami dymu snu. Pod portretem nie ma żadnego tytułu, ale pasowałby taki: „Kaddash, dusza towarzystwa".

– Co czyni cesarza dobrym władcą? – pyta Nisai.

Odpowiadam bez chwili wahania: – Ty o tym zdecydujesz.

– Naprawdę?

Ściera niewidoczny pyłek z portretu ojca i rusza dalej.

Issinon, służący Nisaia, czeka przed komnatami księcia. Kłania się nisko z dłońmi przytkniętymi do purpurowej szarfy,

znamionującej jego pozycję. Prostuje się i podaje księciu niewielki zwój: – Pierwszy książę.

Nisai otrząsa się z powagi tego ranka i obdarza służącego szczerym uśmiechem. Czeka, aż zostaniemy sami, zanim rozwinie zwój z wiadomością.

Unoszę brew.

Nisai podtyka mi pergamin pod nos.

– Jak myślisz, czym to pachnie?

Wykrzywia się w uśmiechu i teatralnym gestem przesuwa palec po szyi.

Wezwano nas.

Zapach władzy dominuje w komnacie Rady.

Pamiętam, jak pierwszy raz poczułem tę kombinację nektaru i przypraw korzennych. Było to dawno temu, u podnóża góry Ekasyi, pomiędzy murem cesarskiej stolicy i rzeką. W slumsach przyczepionych do zboczy niczym małże do kamieni. Na tej ziemi niczyjej, gdzie nikt znikąd się nie wywodził, nic nie pachniało tak słodko. Nisai zaprowadził wtedy mnie, brudne uliczne chuchro, cuchnące jeden Riker raczy wiedzieć czym, przed oblicze swej matki: królewskiej postaci w szatach o kolorze cesarskiej purpury, z diademem z ametystów i rubinów połyskujących nad jej brwiami.

Stałem tam, jak mi się wydawało, przez wieczność, miałem sucho w ustach, serce waliło mi jak oszalałe. Biło tak głośno, że myślałem, iż musiała to słyszeć – z każdym uderzeniem zdradzało jej moją winę, wstyd i strach, równie jasno, jak świątynne bębny ogłaszają obrót gwiezdnego koła. Czułem wokół siebie jej perfumy, podczas gdy jej wzrok przykuł mnie do miejsca, taksujący, ale łaskawy, jakby jej syn przyprowadził do domu zbłąkanego kota i zapytał, czy może go zatrzymać.

W końcu uśmiechnęła się do mnie, odsłaniając białe zęby, wstała i oświadczyła: – Jeśli mój syn chce go zabrać do pałacu, chłopiec pójdzie do pałacu.

I tyle.

Czy dostrzegła moje sekrety, czy znała prawdę o tym, co zrobiłem, by ocalić jej syna, tego nigdy się nie dowiem i nigdy o to nie zapytam. Nisai i ja zawarliśmy w tej sprawie milczące porozumienie. Zbyt wiele ryzykowaliśmy. To, co wydarzyło się wcześniej tamtego dnia, musi pozostać między nami.

Teraz Shari pozdrawia nas znad okrągłego stołu, dominującego w tym pomieszczeniu. Wycięty ze szkliwa wulkanicznego wydobytego w kopalni pod górą Ekasyi, ma wypolerowany blat i jest inkrustowany klejnotami, które układają się w mapę gwiezdnego koła w noc zawarcia Porozumienia, zaś dwa bliźniacze księżyce wykonano z połyskliwej masy perłowej.

Cztery pozostałe Radne, kolejne żony Kaddasha, siedzą przed konstelacjami reprezentującymi ich prowincje: losańska Kobra gotowa do ataku, Tur z Trelu, Złoty Orzeł lecący wysoko nad Edurshai, linia gwiazd znacząca kształt Śnieżnego Lisa Hagmiru od nosa do końca ogona. Bardzo wątpię, żeby miejsce Shari przy Uskrzydlonym Lwie jej dziedzictwa p r z y p a d k i e m znajdowało się naprzeciwko drzwi. Rada Pięciu może być uznawana za demokratyczną z prawnego punktu widzenia, ale obecnie wszystko zależy od słów cesarskiej żony z Aphorai.

Shari, nie marnując czasu, od razu przechodzi do sprawy. Zachowuje się oficjalnie. W końcu Rada, której przewodzi, wezwała Niasaia jako cesarskiego następcę, a nie jako jej syna.

– Aphorai ogłosiło datę Kwiatowego Księżyca. – Obwieszcza rzecz oczywistą. Świątynia w Ekasyi posłała wczoraj ku niebu tęczę – pierwsze ogniwo łańcucha dymnych sygnałów. Do tej pory w całym Aramteshu wznoszą się kolorowe dymy.

– Eraz Aphorai przysłał najuprzejmiejsze zaproszenie do stolicy z tej pomyślnej okazji. Wysłanie przedstawicieli cesarstwa jest koniecznością.

Galen, cesarska żona z Trelu, przygląda się uważnie wymanikiurowanym paznokciom.

– Pomyślnej?

– Radosnej. Przynoszącej szczęście. Jednej na pokolenie – warczy Shari. Ona i Galen już dawno wypełniły swoje obowiązki i dały synów cesarzowi, dlatego ich romantyczna relacja nie skutkuje żadnymi sankcjami. Niemniej Shari zawsze wydaje się udawać ostrą wobec Galen, by nie pomyślano, że faworyzuje rywalizującą prowincję. Aphorai, jej rodzinna prowincja, mogłaby ją z tego powodu ukarać. Może nawet zastąpić kimś innym w Radzie.

– Och! Rzeczywiście! – Galen kiwa głową, a jej warkocze, równie złote jak pola pszenicy w Trelu, pozostają nieskazitelnie ułożone na czubku głowy. Jej zawstydzenie sprawia, że wolałbym, żeby Shari nie była dla niej publicznie tak surowa.

– Stryjeczny dziadek jest wspaniałomyślny. Cieszę się, że Rada postanowiła okazać cesarską przychylność naszej prowincji. Możecie mną dysponować w przygotowaniach delegacji, oczywiście uwzględniających potrzeby ojca. Jego podróż nie będzie łatwa, ale są sposoby, by zapewnić mu jak największe wygody. – Nisai klaszcze w dłonie.

Shari stuka palcem w zwój leżący na blacie stołu.

– Rada dopomina się twojej pomocy w innej sprawie, pierwszy książę.

– Oczywiście, Radno – Nisai zwraca się formalnie do matki.

Shari omiata wzrokiem stół i nawiązuje kontakt wzrokowy ze swoimi czterema odpowiedniczkami, zanim ponownie spojrzy na syna.

– Bądźmy szczerzy, nadszedł czas, byś przejął niektóre obowiązki ojca.

– Radno, cesarz ma w sobie jeszcze dużo sił żywotnych. – Nisai splata luźno palce.

– Oboje wiemy, że Kaddash opuści pałac dopiero w żałobnym kondukcie.

Nikt tego głośno nie powiedział, ale założyłbym się o swoje miecze, że wszyscy w tej komnacie tak myśleli – im dłużej Kaddash zwleka z odejściem, tym gorzej dla cesarstwa. Ale to właśnie Rada wyniosła go na tron, uznając go za lepszego od jego braci, podobnie jak oddała władzę jego ojcu i ojcu jego ojca, i każdemu władcy wcześniej, jak daleko sięgała pamięć.

Porozumienie służy swojemu celowi od wieków, zapewnia równowagę – w każdym kolejnym pokoleniu na władcę wybiera się cesarskiego syna, którego matka pochodzi z innej prowincji niż cesarz, dzięki czemu władza rotacyjnie przechodzi w ręce przedstawicieli poszczególnych prowincji. Zwierzchnictwo lokalnych dynastii nie może przekroczyć ich terytorium. Spory o granice są wygaszane, zanim na dobre wybuchną, tym bardziej że istnieje ryzyko, że przy następnych wyborach urząd cesarza i cesarska armia, która się z nim łączy, mogą przypaść najbardziej upokorzonemu w takich zatargach. Zapewnia to stabilizację w całym cesarstwie, pozwala też ludziom roztropnym, przedsiębiorczym i mającym odpowiednie środki dobrze prosperować. Z kolei ci ze środkami, ale bez pomysłów, albo z pomysłami, ale bez środków… No cóż, to zupełnie inna historia.

Shari unosi dłoń i przerywa milczenie:

– Aramtesh nie służy żadnemu mężczyźnie. W tym twojemu ojcu. – To starannie dobrane słowa, z prawdą i zdradą oddzielonymi o włos.

– Jeśli tak mówisz, matko. Ale nadal nie wiem, czego Rada ode mnie oczekuje.

– Znosimy odosobnienie.

Zdecydowanie Shari zawsze mnie uspokajało, dodawało otuchy. Aż do tej chwili. Zniesienie nakazu odosobnienia? Co ona sobie myśli?

– Wybacz, matko, ale czy możecie to zrobić?

Shari przesuwa zwój po blacie stołu w jego stronę.

– Jednomyślną zgodą Rada Pięciu może obalić władzę cesarską w sytuacji, kiedy zaniechanie tego naraża na niebezpieczeństwo Porozumienie. Wiele się zmieniło od czasu wprowadzenia zakazu opuszczania przez ciebie pałacu. Bardzo bym chciała, żeby tak nie było, ale twoje bezpieczeństwo nie jest już najważniejsze.

– Podważacie władzę ojca? – Nisai wygląda na zszokowanego.

Esmez, siedząca dwa miejsca od Shari, pochyla się do przodu. Cesarska żona z Hagmiru jest uosobieniem matrony, jej sylwetka kontrastuje z posągowym wyglądem Shari.

– Nie potrzebowałyśmy wykorzystywać luk w prawie, skarbie. – Esmez mówi łagodnie, jakby uspokajała wystraszone zwierzę. – Cesarz podpisał dokument. Medyk zabrania mu wyruszenia w podróż w jego stanie. Dlatego nie zamartwiaj się. Przynajmniej nie w sprawie ojca.

– Twój brat – dodaje Shari – został ponownie wezwany. Powinien być z nami za pół księżyca. Argusowie nie będą potrzebowali więcej niż trzech dni na przygotowania. Wtedy wyruszycie. Obaj.

Galen aż promienieje, gdy Shari wspomina jej syna. Książę Iddo jest jedynym cesarskim potomkiem niespełniającym warunków dziedziczenia tronu – jego matka i cesarz pochodzą z tej samej prowincji. Jest dowódcą cesarskich argusów. Galen jest zapewne zachwycona perspektywą zobaczenia swego jedynego dziecka – wszystkie pozostałe żony muszą odwiedzać własne dzieci poza stolicą, objętą nakazem odosobnienia.

– Posłanie tam naszych gwardzistów nie zostałoby odczytane jako dowód dobrych intencji – wyjaśnia Shari. – Ale argusowie

to co innego, są powoływani z całego Aramteshu, by służyć cesarstwu. Będziesz miał własną służbę. I Ashradinorana oczywiście.

Krzywię się, słysząc pełną wersję mojego imienia, nawet jeśli Sahri posłużyła się nią wyłącznie ze względu na skrybę, który siedział w kącie i wszystko protokołował. Takie są oficjalne procedury. I oficjalnie jestem Tarczą następcy tronu Aramteshu. Jego najbliższym strażnikiem. Zaprzysiężonym według starożytnego prawa, jak wszystkie Tarcze przede mną, naznaczonym na całe życie herbem rodziny mojego podopiecznego. Skrzydlaty lew wytatuowany na moim ciele – bestia z rozwartą paszczą, upierzonymi łapami o zakrzywionych pazurach – zobowiązuje mnie do obrony księcia za wszelką cenę.

Nieoficjalnie, z chęcią oddałbym życie niebiosom, gdybym w ten sposób mógł ocalić jego życie. Mimo że odwzajemniłem mu już przysługę kilka razy, to właśnie Nisai swoim milczeniem jako pierwszy ocalił mi życie, a jego przyjaźń ratuje mnie od nowa każdego dnia.

W tej chwili Nisai niemal tańczy na piętach. Nie mogę go winić za to podniecenie. Właśnie dostał pozwolenie na wyjazd z kompleksu pałacowego w Ekasyi po raz pierwszy od wielu obrotów, od kiedy do Kaddasha po raz pierwszy cicho zapukała śmierć, a Rada uczyniła coś, co dotąd się nie zdarzyło: przedwcześnie wyznaczyła następcę cesarza, wprowadzając nakaz odosobnienia.

Przez sekundę myślę, że przyszły władca Aramteshu obiegnie zaraz stół i uściska po kolei wszystkie Radne. Ale Nisai bierze się w karby: – Dziękuję Radzie za okazane mi zaufanie.

Mogę jedynie stać tam i patrzeć, mrugając oczami, z ustami otwierającymi się i zamykającymi, niczym u ryby złapanej w sieci. Za dwanaście dni książę opuści pałac po raz pierwszy od wielu obrotów gwiezdnego koła.

To daje mi jedenaście dni, żeby go od tego odwieść.

Rozdział 3

RAKEL

Mięta, skóra, rozmaryn, pot.

Obejmuję ramiona ojca, gdy niesie mnie ulicami i zabiera nas oboje coraz głębiej w miasto Aphorai. Każdy mijany żołnierz kłania się swojemu dowódcy i przykłada pięść do piersi. Jest to szacunek szczery, jakby wyryty w rysach ich twarzy. Najwyraźniej nie zwracają uwagi na smugi miejskich aromatów i smrodu, które nas otaczają. Dla nich to jedynie łagodne powiewy snujące się w tle. Ale dla mnie to powódź zapachów zmieniająca najszerszą aleję Aphorai w rwącą rzekę – napierającą na mnie i zalewającą, jak ściana wody pędząca z rykiem z gór, gdy topnieje śnieg.

Gdybym się nie szamotała, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, byłoby po mnie. Niewidzialne ręce paniki zaciskają mi się na szyi. Mój oddech jest płytki i urywany. Czy tak właśnie czuje się człowiek, kiedy uświadamia sobie, że tonie? Nie mogę już dłużej…

K o n t r o l u j t o, mówię do siebie, zaciskając mocno powieki i zatykając oba nozdrza. Teraz po jednym zapachu na raz. Wyodrębnij je. Znalazłaś jeden? Trzymaj się go. Licz. Wdychaj… mięta. Wypuść powietrze… skóra. O to chodzi. Oddychaj. Po prostu oddychaj.

Uspokajam się do czasu, gdy docieramy do murów kompleksu świątynnego. Ojciec zdejmuje mnie z ramion. Kiedy stajemy twarzą w twarz, zauważam, że jest wyższy ode mnie jedynie o głowę. Czy stoimy na schodach? Nie, na równej ścieżce.

– Od tej chwili będziesz musiała iść sama, mała.

– Ale chcę zostać z tobą. – Łzy napływają mi do oczu. – Proszę.

W odpowiedzi zakłada mi naszyjnik przez głowę – srebrny łańcuszek i medalion. Oczy robią mi się wielkie z wrażenia, gdy patrzę na medalion. Jest delikatnie grawerowany, ma maleńkie gwiazdy zdobiące metal, jakby został na nim wyryty kawałek nocnego nieba. Obejmuję ojca ramionami: – Dziękuję.

– Otwórz go.

Robię, co mi każe. Po jednej stronie znajduje się pusty pojemniczek na balsam. Podnoszę go do nosa. Nic.

– Kiedy będziesz już wystarczająco duża, wybierzesz własny. – Wskazuje na drugą stronę z niewielkim portretem kobiety: – To twoja matka.

Nie pamiętam jej zapachu, dlatego nie ma szans, żebym przypomniała sobie jej wygląd. Ale jeśli rzeczywiście wyglądała tak jak na kamei, była uderzająco piękna. Szlachetne czoło, prosty nos, wydatne kości policzkowe. Kształt jej szczęk świadczył o nieugiętej woli, ukrytej za uśmiechem.

– Z każdym dniem jesteś coraz bardziej do niej podobna.

Przyglądam się uważniej. Myślę, że ojciec widzi to, co chce widzieć. Z drugiej strony nie mogę zaprzeczyć, że mam tak samo jak ona, trochę szerzej, niżbym chciała, rozstawione oczy i burzę włosów na głowie, z którymi trzeba toczyć wojnę, żeby utrzymać je z dala od twarzy, nie wspominając o próbach zaplecenia ich w warkocze. Nawet teraz kosmyk łaskocze mnie w nos. Odsuwam go z grymasem niezadowolenia.

– I masz jej temperament – śmieje się cicho ojciec.

To przynajmniej brzmi prawdziwie.

– Co na sobie nosiła? – pytam, wyciągając przed siebie medalion, pojemniczkiem na balsam do góry.

Jego ogorzała twarz nabiera wyrazu zamyślenia.

– Pustynną różę.

Zamykam oczy i usiłuję sobie przypomnieć. Pustynna róża. Z nutą kardamonu potęgującą bogactwo zapachu? A może leciutko przełamana czarnym pieprzem, dodającym zapachowi charakteru? To mogło być to. Ale czy było? Nie wiem. A jeśli rzeczywiście było, dlaczego czułam tylko lawendę? Lawenda wypełniała mi nos, zatoki, gardło. Lawenda miała uspokajać rannych. Koić dzieci do snu. Ale, na szóste piekło, ta lawenda p a r z y.

Budzę się, z trudem łapiąc oddech. Dziewczyna, która pochyla się nade mną, odskakuje do tyłu. Jest ubrana na żółto, ale tkanina, która musnęła moje ramię, jest gładka jak woda.

Jedwab? U służącej?

Zadowolona, że się obudziłam, dziewczyna prostuje plecy i zatyka niewielki szkliwiony pojemniczek.

Sole trzeźwiące.

Jakiś niepokój pojawia się w zakamarkach mojego otumanionego umysłu, kiedy uświadamiam sobie, że leżę na plecach, a pod sobą mam zimny marmur. Przesuwam wzrok po plecionym z trzciny sklepieniu. Tak wyrafinowanego wzoru jeszcze w życiu nie widziałam. Pięcioramienny żyrandol w kształcie koła wozu ze świeczkami jest w tym pomieszczeniu jedynym źródłem światła. A jedynym meblem w zasięgu wzroku jest kamienna ława ze stosem niebieskich poduszek – w indygo, kobalcie, lazurze i jeszcze innych odcieniach.

Po kilku kolejnych oddechach napastliwy amoniak znika z moich nozdrzy, ustępując miejsca najlepszym kadzidłom aphoraiskim. To czysty surowiec, a nie byle jaka sproszkowana wersja, jaką palą na ulicach.

S m o c z a k r e w.

Udało mi się. Jestem tu.

Podnoszę się do pozycji siedzącej i przyciskam nadgarstki do skroni, w głowie mi dzwoni, jakby ktoś grał na cymbałach między moimi uszami. Zanim dzwonienie ustaje, służąca wycofuje się do cienia. Najpewniej nie zauważyłabym stojących tam dwóch strażników, gdyby nie ostre fale smrodu stęchłego czosnku i piwa z poprzedniego wieczora, którymi śmierdzi ich pot.

Czy na myśl o tym, że głowy bolały ich na pewno bardziej niż mnie, czy też na skutek mikstury, którą wypiłam, nagle zaczynam się śmiać. Śmiech jest bardziej szalony niż wesoły, a każdy ruch wywołuje ukłucia bólu w karku. Podnoszę rękę do szyi, krzywiąc się przy tym. Chyba ją sobie nadwyrężyłam, kiedy upadłam, tracąc przytomność.

W tej samej chwili mam dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Mierzy wzrokiem.

I dobrze. Udawało mi się, jak do tej pory. Nie ma sensu teraz się wycofywać.

– Mandragora – mówię do kogoś, kto słucha, ale znajduje się poza światłem migoczących płomyków świec. Głos mam zachrypnięty i ledwie słyszalny. Odkasłuję i próbuję ponownie: – Podsunąłeś mi mandragorę, prawda? Zamaskowaną gorzkim melonem.

Nic. A potem z ciemności dochodzi mnie powolne klaskanie.

– Brawo.

Prycham.

– Naprawdę. Nie znam innego nosa w tym mieście, który by to wywęszył.

To może być tylko Zakkurus. Pojawia się w kręgu światła. Wysoki i gibki, ciemny jedwab jego szaty pobłyskuje maleńkimi liliami wyszytymi srebrną nicią. Czarne włosy sczesane z czoła podtrzymuje srebrna opaska, ładne rysy bladej twarzy wskazują na życie z dala od pustyni. Z gracją węża przemierza posadzkę, usta ma wykrzywione w uśmiechu. Chyba zabarwił

je sokiem granatu, choć bardzo subtelnie. Biorąc pod uwagę zawiły wzór namalowany tuszem wokół jego oczu o barwie lazurytu – zimnych w świetle świec – wcale nie byłabym zdziwiona.

Zatem pogłoski mówiły prawdę. Naczelny perfumiarz Aphorai jest równie piękny, jak samotny. I młodszy, niż myślałam. Do tej pory nie wierzyłam, że ktoś może tak szybko wspiąć się po szczeblach kariery. Ale teraz, kiedy siada przede mną na wyłożonej poduszkami ławie, mój sceptycyzm się rozwiewa. Mógł widzieć zaledwie kilka obrotów więcej ode mnie.

Zakkurus zakłada jedną długą nogę na drugą i w milczeniu mi się przygląda. Staram się nie mrugać powiekami, kiedy wyciąga dłoń i ujmuje mnie pod brodę. Jego skóra jest niewiarygodnie delikatna, podobnie jak jego zapach. Przez krótką chwilę czuję świeżość fiołkowej wody. To sprawia, że wyobraźnia zabiera mnie daleko od tego dziwnego, ciemnego pokoju, daleko od tej sytuacji – idę rześkim rankiem przez ogród, barwy wschodzącego słońca tańczą na fontannie, egzotyczne kwiaty w tarasowych donicach czekają na słońce, by się rozwinąć. Wzdycham i zapach się rozwiewa, zostawiając mi jedynie tęsknotę i żal.

Zakkurus obraca moją głowę, oglądając mnie niczym zwierzę przed aukcją.

– Nie zrobili ci krzywdy, kwiatuszku? – Wzrok perfumiarza biegnie w kierunku skacowanych strażników. – Powiedziałem im, że nie wolno cię skrzywdzić. Ale ktoś o mojej pozycji musi być bardzo ostrożny, kiedy przyjmuje nieoficjalnych gości.

– Nie jestem…

– Kwiatuszkiem?

Wzruszam ramionami.

– Nie – mówi Zakkurus, kładąc się na poduszkach i omiatając mnie wzrokiem od zakurzonych butów po opaskę, spod której wyślizgują się kosmyki włosów. – Nie doszłabyś tak daleko,

gdybyś była. – To mówiąc, kładzie sobie na kolanach torbę i zaczyna oglądać jej zawartość.

Moja torba.

Gdzieś w myślach słyszę głos Bardena: „Bądź ostrożna". Kręcę głową, próbując otrząsnąć się z odurzenia.

– A zatem, mój nie-kwiatuszku, jakim cudem natknęłaś się na wartą niewielką fortunę ilość czystego olejku z pustynnej róży?

Wytrzymuję jego spojrzenie. Nie mrugnij teraz, Rakel.

– Zrobiłam go.

I jestem z tego cholernie dumna. Cały sezon gramoliłam się przez kaniony i zbierałam kwiaty własnymi rękami. To najczystszy olejek, jaki kiedykolwiek zrobiłam, znacznie lepszy od mętnych pomyj sprzedawanych na bazarze po wysłaniu najlepszego towaru do stolicy cesarstwa. Sekret? Olej, a nie woda. Destylowanie różanych płatków, gotowanie i odparowywanie ich esencji nie ma sensu, chyba że ktoś chce posłać wszystko od razu do nieba. To zbyt agresywna metoda. Za gwałtowna. Sprawy wyglądają znacznie lepiej, kiedy łagodnie wywabi się zapach z płatków. Kwiaty muszą chcieć oddać swoją woń. Trzeba je ściskać między solidnymi warstwami tłuszczu przez całe dni, a wtedy są skłonne to zrobić.

Nie żebym od razu wyrywała się z tą informacją.

Zakkurus nadal się uśmiecha, ale jego oczy stały się twarde jak szafiry: – No dobrze. Wspólnicy w interesach muszą sobie okazywać szacunek. Zwłaszcza ci, którzy mają… w i z j ę obejścia cesarskich przepisów, prawda?

Szacunek. Łatwo go żądać, trudniej dawać. Niechętnie kiwam głową.

– Miło wiedzieć, że palimy ten sam knot. A teraz, skąd to masz?

– Ja. To. Zrobiłam. Nawet nie sprawdziłeś znaku producenta. Gdzie w tym szacunek?

Niebieskie oczy mnie świdrują.

Mam tylko nadzieję, że nie widzi przyśpieszonego pulsu w żyle na mojej szyi.

Macha dłonią, jakby opędzał się od muchy.

– Zostawcie nas.

Szuranie kilku par stóp cichnie w ciemności.

Uśmiecham się z satysfakcją, kiedy podnosi zatyczkę i zagląda do środka, jakby chciał wróżyć z fusów. A potem wykonuje okrążenia ampułką pod nosem. Marszczy się i kolejny raz wącha fiolkę, zamykając przy tym oczy i wdychając głęboko powietrze.

– Nie spiesz się. – Nic mnie nie powstrzymuje przed podniesieniem się z posadzki, tyle że zdrętwiały mi nogi. Zagryzam wargi i zmuszam się do powstania, robię kilka kroków, żeby pozbyć się mrowiącego bólu, ale nie opuszczam kręgu światła.

Zakkurus wyjmuje z wewnętrznej strony szaty trzcinkę probierczą. Pewnym ruchem zagłębia ją w ampułce, a potem trzyma nad jedną ze świec. Płomień pożera ją błyskawicznie. Zwęglone resztki opadają na miedziany talerz. Rozciera popiół między kciukiem i palcem wskazującym, brudząc je na szaro, a potem wącha po raz ostatni.

W tym czasie krew zdążyła ponownie popłynąć w palcach moich stóp.

– Zadowolony? Jest tego więcej tam, skąd pochodzę. Pytanie brzmi, czy jesteś zainteresowany?

– Po co n a p r a w d ę przyszłaś, kwiatuszku?

Przez całe księżyce przygotowywałam się do tego. Ale nie byłam gotowa na sytuację, kiedy w ustach mi zupełnie zaschło, a język jakby spuchł. Z trudem trzymam nerwy na wodzy.

– Sprawdzian kandydatów na praktykantów odbędzie się za trzy dni od dzisiaj. Ja…

– Nawet jeśli twoje umiejętności są takie, na jakie wyglądają, na sprawdzianach są faworyzowane bachory z pięciu rodzin.

Na to liczyłam: że nie zapomniał o tym, kim był i skąd pochodził. Widząc jego pogardę, pozwalam sobie na lekki uśmiech.

– Na brodę Esiku, m y ś l i s z, że masz jakieś szanse? – Odrzuca do tyłu głowę i wybucha śmiechem.

Policzki mi płoną. Jedyna rzecz, która powstrzymuje mnie przed wybiegnięciem z tego pokoju, to brak pewności, gdzie są drzwi. Biorę się jednak w ryzy.

– Czy kiedykolwiek sfuszerowałam zamówienie? Nie. Dobrze na mnie zarabiasz, Zakkurusie. Wysłuchaj mnie, a zarobisz więcej. Znacznie więcej.

Unosi perfekcyjnie wypielęgnowaną brew: – Mów dalej.

– Opowiesz mi o ostatecznym teście czeladniczym?

– Prosisz mnie, żebym pomógł ci oszukiwać na m o i m sprawdzianie umiejętności kandydatów na praktykantów? Chyba upał panujący w mieście pomieszał ci w głowie.

– Wolę określenie „wyrównanie szans". Jeśli zwyciężę, będziesz pewny, jak tego, że skunks śmierdzi, że wybrałeś praktykanta najlepszego z najlepszych, a nie jedynie takiego, którego stać na pełny ekwipunek. Tylko sobie wyobraź reputację, jaką pomogłabym ci zbudować. Zwrócilibyśmy uwagę stolicy. Aphorai powróciłoby na mapę.

Jego oczy lekko się powiększyły. Czyli coś do niego docierało.

– A jeśli nie przejdziesz?

Uniosłam ampułkę z olejkiem z pustynnej róży.

– To nie tylko to. Sprawdziłam już tę metodę na kwiatach białego imbiru. Jaśminu też. – Wskazuję na jego szatę. – Założę się, że zadziała nawet na liliach. – Kieruję się za ławę, poza krąg światła. Moje oczy potrzebują chwili, by dostosować się do mroku. Na ścianie wisi wzorzysty dywan, miękki pod moją dłonią, wart więcej niż życiowe dochody większości mieszkańców mojej wioski. Gorzki smak fałszywej pewności siebie pojawia mi się na języku. Nie ma innego sposobu.

– Jeśli nie przejdę, dam ci wyłączność na dziesięć obrotów. Będę zaopatrywała ciebie i tylko ciebie. Poza księgami. Nadzorca podatkowy nie będzie miał o tym pojęcia.

Zakkurus puka długim palcem w udo, moja propozycja wisi między nami niczym trujący dym.

Zagryzam wargi.

Cztery puknięcia.

Pięć.

– Chcę spisanej umowy. Nie ustąpię – mówi wreszcie.

W brzuchu czuję dziwną słabość. Dla kogoś takiego jak on, kto nie musi się już szamotać, o nic walczyć, to typowe – nie nazwie rzeczy po imieniu. Umowa. To przecież niewola.

– Wiem, że jestem najlepsza. – Udaje mi się nadać głosowi więcej przekonania, niż jest we mnie naprawdę. Teraz, gdy znajduję się w tym obcym pokoju, to miejsce w ciemności, dające złudne poczucie schronienia, staje się krawędzią klifu.

Zakkurus przeszukuje wzrokiem ciemne miejsca.

– Nie jesteś jedyną osobą, która tam stała i mówiła te słowa.

– Ale wtedy też warto było zaryzykować, co nie?

Nawet nie mrugnął, słysząc prawdę.

– Powiedzmy, że postanowię ci pomóc. Co cię powstrzyma przed nagłą utratą pamięci i ucieczką do odległej oazy?

Bez poczucia winy zastanawiam się, czy ojciec odkrył zniknięcie pieczęci. Wolałabym jej nie brać, ale gdyby znał moje plany, zabroniłby mi wychodzenia z domu.

– Mam ludzi pod opieką.

Pociąga nosem: – Handluję zapachami, nie sentymentami.

Sięgam do szaty po pieczęć ojca.

– Dlatego potwierdzę to w glinie.

Oboje wpatrujemy się w przedmiot w mojej ręce – kamień z wyrytą serią piktogramów: różą, hełmem żołnierskim i zygzakiem pasma górskiego – naszym nazwiskiem rodowym i herbem.

Po raz tysięczny próbuję znaleźć inne rozwiązanie…

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiekolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl